

- Mam zaszczyt powitać panią Józefę Posch-Kotyrbę, która zdecydowała się opowiedzieć o losach swojej rodziny. Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Pani Józefo, pani ojciec, Józef Posch wraz z wujem Karolem, od początku II wojny światowej brał udział w działaniach konspiracji antyniemieckiej. Przez cztery lata grupa założona przez Arnolda Preglera skutecznie stawiała opór okupantowi. Przejmowano listy zawierające donosy oraz inne niebezpieczne informacje, co pozwalało miejscowej ludności częściowo uniknąć niemieckich represji. Udało się również przeprowadzić kilka akcji, które unieszkodliwiły niemieckich sprzymierzeńców. Niestety na początku lipca 1943 roku aresztowano jednego z członków grupy, co zaowocowało zbiorową dekonspiracją i falą aresztowań. Pani wujostwo zostało aresztowane nocą z 14 na 15 lipca 1943 roku. Natomiast wczesnym rankiem Gestapo wdarło się do Pani domu. Pani Józefo, kiedy doszło do aresztowania pani rodziny miała pani zaledwie 5 lat. Jednakże przypuszczam, że ten dzień pozostał wyryty w pani pamięci bardzo dokładnie. Czy mam rację?

- Tak, ma Pani rację, że może nie słowa, nie daty, nie coś, ale całe takie sceny mam w swojej pamięci.

- Proszę nam opowiedzieć kilka takich scen.

- No jedną ze scen, pierwszą, którą w ogóle nie miałam pojęcia jako dziecko, to mimo że już wojna trwała, okupacja była, to ja jako dziecko nie miałam kontaktu z żandarmami niemieckimi. Mieszkałam na obrzeżu Szczakowej i Jaworzna, na Dobrej, gdzie były tylko trzy domy czy cztery w pobliżu. I jako dziecko to się bawiłam z kuzynkami, przychodząc do Jaworzna do centrum i nie miałam pojęcia co się na Bożym świecie dzieje. Że w niedalekiej odległości od Jaworzna jest największy w Europie obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau i co tam się dzieje. I to był powód, w którym się... okupacja, no i te sceny, które tam się odbywały spowodowały, że na terenie naszego regionu zawiązał się ruch oporu. Warunki były sprzyjające, dlatego że tak: w pobliżu była stacja główna Szczakowa na trasie Katowice-Kraków i na wschód. No i był duży obszar leśny, który obejmował lasy od Szczakowej poprzez Dobrą, Jeziorki, Byczynę, aż tam w stronę Libiąża. No i tak, że tu można było tak, powiedzmy spokojnie, że tak powiem konspirować.

W tej organizacji, tzw. Grupa Leśna się to nazywało, uczestniczył mój ojciec, Józef Posch - nie żaden gajowy. Również gajowym był mój stryj i taki dziadek, a stryj mojego ojca - Karol Posch i jego syn też Karol Posch Junior. No i wtedy jak ten dzień czternastego... Wcześniej, około piątego, na początku lipca, pierwsze aresztowanie nastąpiło w leśniczówce w Jeziorkach. Aresztowano Arnolda Preglera i jego rodzinę tzn. żonę i trzech synów.

Nas natomiast aresztowano dopiero po pewnym czasie, czyli z 14 na 15 lipca. To było kiedy ojciec był na nocnej zmianie w kopalni Jaworzno. Ja z mamą i dwojgiem rodzeństwa: trzyletnią Gertrudą i ośmioletnim bratem Mieczysławem spaliśmy sobie spokojnie, gdy nagle mnie jako dziecko, byłam bliżej okna, usłyszałam takie walenie w okno i mówię – Mamusiu, ktoś się dobiera do domu! Wówczas mama wstała, coś narzuciła, otworzyła. Wparowało czterech żandarmów. Przeprowadzali nagle, takie z krzykami, rewizje. Wywracali szuflady w szafkach nocnych, w szafie, nawet siennikami, na których spała moja siostra z bratem, bo jeszcze nie wiedzieli, że już się coś dzieje. No, szukali prawdopodobnie ojca i jakiś materiałów. Oczywiście nic im się nie udało. Wtedy szybciutko mamy się wynieść. Tak, że nie było czasu się nawet dobrze ubrać. Mama tylko pamiętam też, że zabrała tylko pół bochenka chleba, siostrze coś narzuciła, brat jakieś spodenki i raus (precz) przed dom. Zamknęli, zaplombowali dom. I my zostaliśmy przed domem pod nadzorem jednego z tych żandarmów.

Tamci pojechali po ojca na kopalnię, więc musieli jechać tak w kierunku Szczakowej. Przez Szczakową na kopalnię. Na kopalni ojca również nie ujęli. W międzyczasie pamiętam, że, taki obok co mieszkał, pan Langer pojechał na rowerze do mojej babci, tu do Jaworzna, żeby czasem ojciec do domu nie przyszedł, bo rodzinę mu aresztowali.

No i jak oni wrócili z tego Jaworzna bez ojca, pognali nas w stronę lasu. I tam już stał taki duży więzienny samochód, który jak otwarły się drzwi, okazało się, że już z leśni.. z tej gajówki stryj Karol, jego żona Anna, synowa Janina Stożek Posch ciężarna i dwuletnia córeczka Bogusia-Bogumiła. I tam do tego nas, musieliśmy wejść, po czym samochód ruszył. Ja nawet nie byłam w

stanie patrzeć kto tam gdzie jest i jak tego. Pojechaliśmy w jakimś kierunku. Okazało się, że po drodze samochód się zatrzymał. Jako dziecko pamiętam, że widziałam tylko u góry takie te jak tramwajowe są przewody, trakcję taką. I tam się samochód gdzieś zatrzymał po drodze i te pamiętam scenę, kiedy drzwi się otwarły i właśnie zawołano nazwisko Pregler. I wtedy zobaczyłam, że pan jakiś wychodzi z samochodu. Był w takim ubraniu, w takim ferszalunku i na nogach miał takie okowy, był skuty po prostu. I jego wywołali, drzwi zamknęli i nas powieźli dalej do Katowic na Gestapo. Tam dorosłych wzywano. My dzieci siedzieliśmy w środku.

Po jakimś czasie samochód nas zawiózł do Mysłowic. W Mysłowicach nigdzie nas nie ulokowano. Siedzieliśmy na takim placu. Ciocia, która była ciężarna, to wiem, że jakieś omdlenia były, coś tam gdzieś nosili, mamę wzywali. Potem było takie wspólne, w jednej misce dostaliśmy metalowej, jakąś zupę. Także te pół bochenka chleba się przydało, bo każdy dostał kawałek i tym żeśmy tak jedli i tam dalej żeśmy byli.

W pewnym momencie przyjechał samochód ciężarowy, przez bramę, taki z plandeką pokryty, takie trzy ławki były. Patrzę, że coś się dzieje. Krzyk, wrzask, płacz - co się dzieje? Zabierali i tam widocznie był ktoś jeszcze oprócz nas, więc dzieci zabierano od dorosłych. Ja widząc to, myślałam, że... też się bałam. Chwyciłam mamę za szyję, objęłam nogami i trzęsłam się, żeby mnie nie wzięli. No niestety musiałam się też poddać temu, bo byłam oderwana. I zamknięto ten tył, z brzegu usiadło trzech żandarmów i pojechaliśmy w jakimś kierunku. W jakim nie mówiono. Nie wiedzieliśmy ani my ani moja mama, która też tam była. Nie przypuszczałam, że właściwie to będzie ostatnie moje spotkanie z mamą.

Zawieźli nas gdzieś. No okazało się potem, że nas zawieźli do takiej miejscowości Pogrzebień, w pobliżu tego Raciborza. To był taki pałacyk, w którym przed wojną mieszkali zakonnicy, a z chwilą kiedy Niemcy skonfiskowali mienie kościelne, to ten budynek przeznaczono na takie... Jak przyjechaliśmy to u góry w tym pałacu byli dorośli i oni udawali się do pracy poza obręb obozu. Natomiast na parterze były przygotowane prycze jednopiętrowe i nikogo nie było. Nas wtedy wpuszczono do tej sali na parterze, no i tam zostaliśmy. Nawet wiem, że jakieś dziecko w becie było tam, bo taka była z boku prycza osobna. Tam dziecko było. No i tam okazało się, że to jest Pogrzebień. Kinder... no, później się nazywał, bo to był...

Potem, za jakieś 3 tygodnie, bo to było tak za jakieś 3 tygodnie, wieczorem przyjechała dość duża grupa dzieci. No mam listy, z których wynika, że ich było 201. Nawet tu mam ten dokument. 201 i wśród tych dzieci, część przyszła na parter, do tej sali, gdzie myśmy byli. I zobaczyłam wśród nich swoje trzy kuzynki, Hermanówny, tu z Jaworzna: siedmioletnią Danusię, sześcioletnią Stasię i czternastomiesięcznego Andrzeja. Okazało się, że u nich było też takie aresztowanie, w czasie którego ojca nie ujęto, tego Piotra Hermana. Natomiast mamę, Władysławę Herman z trójką tych dzieci w tym celu zabrano do obozu. I tutaj oni przyjechali, cała trójka. Wiem, że bardzo się wtedy ucieszyłam, bo kogoś znajomego zobaczyłam.

I wtedy, w jakimś dniu, jakaś pani, której syn był takim kapo, to był więzień z taką opaską, usłyszała i mówi – Dziecko – nazwisko moje mówi – Dziecko, ja znam twojego dziadka. Wiem, że to była pani jakaś Wiśniewska, coś takiego, w tych okolicach. I ona mówi – Dziecko przyjdź do mnie na górę, dam ci chleba ze smalcem. Ja mówię – Ale ja mam jeszcze rodzeństwo. No tak, że jakiś tam odruch taki spotkałam. No tam my jako dzieci...

Obóz był ograniczony drutem kolczastym. Przy bramie była stała warta. Miał ją taki Niemiec, który nie miał lewej dłoni, tylko protezę. No do dzisiaj jakbyśmy tam były 2014 roku, to do dzisiaj jeszcze są drzewa, które były przy bramie i na nich wyżłobione te ślady po drucie kolczastym. Też mam takie zdjęcie, na którym to widać. No tam, jeżeli chodzi o pobyt: myśmy tam za długo nie byli. Ile i jak długo tego nie powiem, bo byłam zbyt mała, żeby się orientowała w tych rzeczach. Ale no tam, jeżeli chodzi o pobyt, byśmy tam za długo nie byli, ile i jak długo tego nie powiem, bo byłam zbyt mała, żeby się orientowała w tych rzeczach, ale dzieci płakały, moczyły się, straszono je, umierały. Jak umarło dziecko, to w taką skrzyneczkę dawali do piwnicy i straszili nas, że jak ktoś będzie nieposłuszny to tam go na noc zamkną.

Więc żeśmy czuli strach. No, któregoś dnia tam zjawiała się taka komisja rasowa siedząca za stołem takim. Myśmy mieli być wszyscy do naga rozebrani i wyczytywani. Kto był wyczytywany,

się zjawiał przed tym tym. I tam dokonywano takich pomiarów głowy: szerokość, wysokość, kolor oczu i takie zapiski robiono. Czemu to służyło to nie wiem. Prawdopodobnie no jakimś celom i o tym nie byliśmy informowani.

- A propos tego co Pani mówi o tych badaniach, czy o tym mierzeniu głowy, kolorów oczu i tak dalej. Czytałam w artykule, że to służyło temu, że dzieci, które pasowały aparycją do niemieckich standardów były odsyłane z obozów do rodzin niemieckich. Czyli Pani się z takimi dziećmi, które po badaniu zostały odesłane spotykała?

- Ja tam w ogóle z takimi dziećmi się nie kontaktowałam, bo byłam.. Myśmy się tak jak rodzeństwo kupili. Ale takie coś znam z, obecnie jak jeżdżę do Niemiec, to koleżanka taka z Poznania, ona była właśnie do takiej rodziny. Mimo, że miała obojga rodziców to była do takiej rodziny oddana. Czyli tak zwana podległa germanizacji. A taka Alodia Wojtaszek, no więc ona później, po wojnie dowiedziała się, że nie jest tym kim tam ją tego. No w każdym bądź razie zakończyło się to sympatycznie, bo się mamy poznały. Ona wróciła do rodziny swojej. Żyje do tej pory właśnie, jest moją rówieśniczką taką.

Natomiast tam przyjechała jednego dnia, przyjechały do nas dwie ciotce. Jedna do Hermanów, taka ciocia Beczkowa i do nas ciocia Żakowa. Przywiozły nam odzienie, bo nie byliśmy kompletnie ubrani. A to już był sierpień, bo one w sierpniu były aresztowane. I nic więcej, no i tutaj kontakt się urwał.

Z tego obozu nas jakąś grupkę, bo myśmy dołączyli do tej grupy 201, a myśmy są na innej liście w ilości tam: Sołtyskówny, jeden Pregler jest. No tam jeszcze ktoś jest. Aha i z Byczyny, od Abstorskich wnuczka Gazda Halina i Andrzej Gazda też byli tacy. No i później nas przewozili. Także tych dzieci w sumie, z obu tych terminów, było gdzieś około 240. Potem jakoś nas wywożono. Ja to mam taki nawet odpis listu tego jednego z Preglerów, Zbyszka. Dziewięcioletni chłopak, który pisze do swojej cioci takie jego...

Aha no i nas przewożono w pewnych grupkach. Inaczej, nie wszystkich razem. Gdzieś tylko jakoś tak podzielono, że przewieziono nas w jakiegokolwiek kolejności. Nie jestem w stanie, nie chcę popełnić błędu. Jak to było powiedzmy chronologicznie... W każdym bądź razie przewożono nas. Byłam w Rybniku, byłam w Gorzycach Wielkich, w Gorzycach Małych i byłam w Katscher, Kietrz to jest obecnie. I to tak trwało te przerzucanie z obozu do tego, do roku.

- A wie Pani z jakich powodów Państwa przerzucano? Było za dużo tych dzieci czy...?

- W różnych konstelacjach były. Ja nie wiem czym się kierowano.

- Nie wiadomo.

- Nie wiem, bo np. w tej grupce ja się z kuzynkami już nie spotkałam. No, natomiast spotkałam się z takimi dziewczynkami z Czeladzi, które w tej samej grupie wędrowały zawsze z nami. Po roku... Aha, w tym Katscher no to, te Gorzyce, to wszystko było tu w obrębie tego Górnego Śląska, od strony tam koło Rybnika, a Kietrz był koło Raciborza już. To, więc tam nas, w tym Kietrz, to była już już było coś innego. Mianowicie tam był to taki obóz też, lager...

- Polenlager.

- Tak, Polenlager numer chyba 92 albo 82. I tam jak myśmy dostali się, to tam dzieci nie było, tylko grupka. Natomiast były prycze dwupiętrowe, zaduch wielki i to była fabryka dywanów. I tam bardzo dużo było takich osób starszych np. z Suchej Beskidzkiej, z Żywca, z Podbeskidzia całego. I tam każde dziecko, które tam byłyśmy to miało takiego dorosłego opiekuna.

Wiem, że mną się jakaś pani Felusiowa opiekowała. Miała tam syna, który wychodził do pracy. Dostawali chyba jakieś grosze za to. No i a bratem opiekowała się taka pani garbuska, pani Król, z Suchej Beskidzkiej no. Tam te cele były przeładowane, był zaduch taki, ciemno bo to było jak fabryka. Okna były na stronę podwórka. To był taki - trzy ściany tego były z cegły, tu był taki niski domek co był kuchnią i tam ciemnica i tu brama była taka. To widzę to jak dziś.

Na przykład do obiadu jak miska jakiejś zupy była, to były trzy różne kolejki. Pierwsza kolejka była dla Anglików, druga dla Polaków, a trzecia dla Madziarów. Bardzo częstym widokiem było zawsze coś takiego, że dwóch więźniów niesie taki ten koc ostry, tą derkę i niosą zmarłego więźnia jakiegoś. Także tam też ludzi sporo umierało. I tam dorośli mieli apele, wychodzili poza obręb tego obozu do pracy. I to był taki u różnych ludzi czy gdzieś tam, no do różnych prac

użytkowych ich tego. Wiem że raz jak żeśmy za ten, za bramę na ten obóz poszli parami, bo takich dwóch Niemców było, którzy się nami opiekowali w cudzysłowie. To na ulicy widać było jak dziewczynki wożą lalki w wózkach coś, a myśmy takie po dwójkami gdzieś szli w pola takie. Raz takie, taką scenę pamiętam.

Więc stamtąd nas przywieźli potem do Bogumina. To był już w 1944 rok. Sierpień i w grupie siedemdziesięciu iluś tam, nie wiem dokładnie czy 6 czy 8, byliśmy załadowani w takie krowiarki. W takie wagony, które nie miały okien, tylko miały takie okienka z takimi szczelinami i zaryglowane. Na słomie wieźli nas gdzieś, też nie wiedzieliśmy gdzie. Wiem, że po drodze, po drodze stanęliśmy na jakimś dworcu. To było już ciemno, że otworzyli ten wagon, wypuścili nas na peron. I tak jak to dawniej do lokomotywy wodę lano, to tam żeśmy się tak do rąk łapali tą wodę, popili i potem, raus, z powrotem do wagonu. Zaryglowali i już jechaliśmy docelowo.

No miejscem, do którego dotarliśmy okazało się, że to było na Pomorzu, koło Nakła, nad Notecią. I to był obóz, który założyli Niemcy. Mianowicie, taki odskok zrobię, że na Pomorzu ludność polską z wybrzeża rugowano z ich domostw i tam zajmowali te Niemcy, a ich wsadzano do obozu w Sztutowie. I tam Sztutow był obozem koncentracyjnym. Miał jedno krematorium i lagerfuhrer tego obozu, przy pomocy więźniów tegoż obozu, budowali właśnie w Potulicach, gdzie był taki pałac, taki nowy obóz, żeby tych ludzi z tego Pomorza do tych baraków przenieść. I to byli tacy przesiedleńcy, bo oni... te dzieci razem z rodziną były aresztowane i jakiś drobny dobytek mieli. I oni byli w innych barakach.

Myśmy przyjechali tak, że tam właśnie tak powstał ten obóz Potulice. Ale w 1944 roku to już ten obóz, myśmy tam dotarli, to myśmy mieli dwa takie baraki za podwójnym ogrodzeniem. Byliśmy pod nadzorem SS i myśmy nie mieli żadnego dobytku, tylko taki ostry koc. Poduszek nie było, niczego i jednopiętrowe prycze. Zimno, jedzenie było paskudne. Tam dotarły dwie grupy dzieci, nie wiem w odstępie dwóch czy trzech dni, druga grupa, bo tak na dokumentach jest ich przewozowych.

Także tych dzieci z 240 zostało tam u nas, w tych Potulicach około stu-czterdziestu-paru. No my, cała nasza siódemka: nas trójka, ta Bogusia i Hermanówny to jest 7 wnuków takich. Wszyscyśmy jeszcze tam w całości dotarli. Tam, ponieważ w sierpniu myśmy dotarli to tam te osoby, które były starsze, ponad 9 lat miały czy tam ileś, to one miały rano apel i były... po prostu szły poza obręb obozu przez bramę, do wyznaczonych prac. Natomiast my dzieci tośmy, nas była już nieduża garstka, tośmy zostawali i naszym zadaniem było doprowadzić do porządku w celach, na korytarzu i wokół na placu wokół baraków. Te baraki były tak ustawione, że tam widzieliśmy za drutami las i prawie dzień w dzień, przez ten las taką drogą szły w dwójkach żołnierze ze śpiewem z karabinami. Na końcu tacy młodzi, to pewno jakieś tam starsi od tych z przodu.

Okazało się, że tam był taki pałac hrabiny Potulickiej bezdzietnej i ona przed wojną ten swój pałac, no to tak wśród lasu było, zapisała jakiemuś tam Krzyżowcom. Zakonnikom w każdym bądź razie i to chyba z Uniwersytetu... Zapisała Uniwersytetowi Lubelskiemu. No i oni tam umieścili tych swoich zakonników, tam zamieszkiwali zakonnicy - krzyżowcy jacyś chyba się nazywali czy Chrystusowcy, o Chrystusowcy. No i, ale znowuż tutaj w czasie wojny, no to ten pałac Niemcy tam przeznaczyci na szkolenie SS-manów, a w podziemiu był taki karcer.

Natomiast więźniowie już byli tylko tutaj, w ogrodzonym baraku, w obozie, gdzie były te wieżyczki, były stała... stały dozór. Ponieważ się już jesień zbliżała, zimno było, dużo dzieci bardzo zaczęło chorować, dlatego bo raz, że było zimno, ale dwa jedzenie było fatalne. Mianowicie rano i na kolację mieliśmy czarną gorzką kawę, jedną kromkę chleba i taką kostkę marmolady. Na obiad była jakaś zupa taka nie zawiesista tylko bez chleba. No i ciągle byliśmy głodni i chłodni i nie mieliśmy już opieki niczyjej matczynej i tak tęskniliśmy za czymś. Nie wiedzieliśmy nawet w ogóle co się. Ja to wiem, że nie docierało do mnie, że to jest... No, no nie mogłam z tego szoku wyjść po prostu, co to jest. Tyle tylko, że miałam siostrę, no to samo zajmowanie się trochę nią, trochę bratem, bo był starszy, ale taki mniej zaradny może powiedzmy, bo jak ja go do szkoły odprowadzałam, no to musiał być mniej zaradny. No i tego to te dzieci wstawiały rano, to miały jakąś chorobę oczu, że całe oczy to miały tak zasklepione taką ropą zastygłą, że nie widziały świata.

I dla niej specjalnie taki jakiś tam barach zrobiono, co to miał nazwy szpitaliku. Także nas została bardzo nieduża garstka.

Oprócz tego bardzo też jeszcze dręczyły nas insekty. Aha, tam jeszcze chcę powiedzieć, że tak: nie mieliśmy tatuowany numerów, ale mieliśmy takie paszporciki. To był taki kartonowy ten nadruk i tam na jedno nazwisko była.. Cała rodzina miała jeden numer i np. na moje nazwisko miałam datę urodzenia i numer i ten numer wszyscyśmy mieli: 6010 mój był. Też taki mam oryginalny, ale nie mój, bo jako mała to nie rozumiałam, że trzeba pewne rzeczy zbierać.

- Zachować.

- No tam, jednego dnia rano obok mnie leżąca Bogusia, była już martwa. Zmarła. Tam też pewnego dnia przyjechała do nas babcia moja, Wronowa, której dwie córki aresztowano, bo miała taki glejt, tu z posterunku. Dzięki takim zabiegom różnym, że rodzice nie żyją. Ma się kto nami zajmować i mogą nas już uwolnić. No i moja babcia pojechała również z cicią tej zmarłej Bogusi. Ona się nazywała, no Stożkówną, była córką Stożka. Bo ta Bogusia to była siostrzenica tej babci, a razem z nią pojechały w ten świat, bo ona była dość przebojowa. No i z tym, no oczywiście wtedy nas jakiś strażnik czy ktoś przeprowadził przez bramę tam, do takiego budynku, gdzie ta babcia była. Widziała, że jesteśmy. Poczęstowali ją też kawą, to pamiętam, czarną gorzką i powiedzieli - Widzicie: żyją? Żyją. - Ale mowy nie ma, żeby nas wypuścili. No i zostaliśmy tam dalej, a babcia wróciła z niczym. Tyle tylko, że na Boże Narodzenie nam gdzieś jakoś chleb jako prezent w paczce przysłała. No, ale taki chleb, jak ja zjadłam na dole, a wyszłam na pryczę to już go nie miałam od razu. No tam bardzo też trudne były takie dni. I myśmy nie mieli, nie wolno nam było... My dzieci, te zdrowe w miarę, tośmy w ogóle nigdy poza obręb obozu nie wyszły.

Natomiast trudnymi dniami były takie dni, kiedy robiono dezynfekcję baraku. To musieliśmy się wtedy wszyscy do naga porozbierać; przeszli gdzieś do innych pomieszczeń. Tam pamiętam, że siedział taki pan na stołku, to miał taką butlę i podchodziło się, oczy się przymykało i czymś tak nas całościowo...

- Opryskał.

- Ofukał, no i tak przechodzimy do sąsiedniego pomieszczenia, w którym było tylko gołe żelazne łóżko i nic więcej. I tam cały dzień o głodzie myśmy tak siedzieli, aż się to wszystko tego. Wracaliśmy potem do baraku, który był cały śmierdzący tymi chemikaliami. No i tak, te dni uważałam bardzo tak niefajnie.

- Najtrudniejsze warunki to były przypuszczam. Dodatkowo do tego co Państwo przeżywali, to jeszcze właśnie te dezynfekcja na pewno była trudnym czasem.

- No, bo chcę powiedzieć, że insekty to co się na nas... O właśnie, jak zrobiliśmy czasem, właśnie ta grupka takich zdrowieńców siedziała, jak zrobiła swoje rzeczy, to siadała na takie dwa stopnie były przy baraku i jeden drugiego czyścił mu głowę z tych insektów. No też takie były, to były czynności normalne. Aż od razu mi się chce coś zrobić.

No w każdym bądź razie przeżyliśmy to bardzo o tym głodzie i chłodzie. No, ale powiedzmy co tam jeszcze takiego było? Aha, no w każdej jeszcze sali był taboret przy drzwiach, nad nim wisiał taki pejcz, batog. No taka rączka drewniana i rzemienie, że jak ktoś coś przeszkrobał, to musiał sobie wyjść na ten taboret, odwiesić, zabrać taboret, wyjść na korytarz. No i grupka, która była miała towarzyszyć tej całej ceremonii. No ja, jak babcia przysłała ten chleb na Boże Narodzenie, to do kolegi powiedziałam, że cukier nam ukradli, coś takiego. A on poskarżył to, także w efekcie musiałam za to być karana. No dwadzieścia pięć razy na tyłek, w obecności tych świadków. No, także odechciało się. No i to tak już było.

A, listów nie pisaliśmy. Bo raz, że nie umiałam, a dwa wolno było pisać po niemiecku tylko, jeden list na miesiąc. Jedna tylko koleżanka była taka z Katowic, to ona umiała po niemiecku, więc ona tam niektórym, no i one były starsze już. Wreszcie, po tym wszystkim, nastąpił taki szczęśliwy dzień. To był chyba luty, gdzieś...

- Dziewiętnastego lutego 1945 roku została Pani uwolniona, razem z rodzeństwem wyzwolona z obozu. Jak to wyglądało?

- No i to był moment, pamiętam, że cisza. Niemców nie ma. Brama, jakiś na koniu wjechał Rosjanin. Wszyscy się dziwią, co to było? W każdym bądź razie to był totalny szal. Pamiętam, że

brama otwarta na oścież. My, szkraby - nie było żadnego pilnowania kogoś przez kogoś. I darliśmy taką drogą w kierunku Noteci, nie Noteci tylko Nakła. No nikt nie panował nad tym. Nie było jakiegoś tego. No w każdym bądź razie pamiętam, że doszliśmy gdzieś do miasta, do Nakła, gdzie jeszcze jakiś czołg czy armata była, że ta lufa jeszcze była taka dość ciepła.

No, no w każdym bądź razie to były bardzo szczęśliwe dni, bośmy ujrzeli tą pierwszą wolność. Już wszyscy radośni tacy. Starsi mieli większą tą przyjemność, bo tak, chłopaki już dochodziły niektóre do 16 lat, więc pootwierali magazyny niemieckie, ubrali sobie te marynarki niemieckie. Tam oprócz tego w obozie, koło obozu, były takie firmy. Jedna była warsztaty lotnicze, a druga szyła takie kożuszki i pilotki dla pilotów, bo tam te warsztaty lotnicze to miały te no zniszczone samoloty, uszkodzone naprawić i po naprawie do Piły je odstawiali, żeby znów brały udział w wojnie.

Chłopcy jeszcze, mało tego, to dotarli do... Otwarli magazyn z amunicją. Jak się dorwali do tego, to sobie poza obręb tego chcieli postrzelać. Jak strzelali, nagle jeszcze Rosjanie gdzieś niedaleko byli – wrócili, myśleli, że to Niemcy powrócili, że o mały figiel byliby nasi, no zostali uznani za Niemców. Dopiero któryś tam, bo tam też były dzieci w jakimś okresie oprócz nas to też przyjechały tam dzieci z Białorusi jakieś. Do nas dołączyli też jeszcze kilka dzieci z Powstania Warszawskiego. O, taki aktor był Leszek Długosz. Nie, nie wiem jak mu to no, ach taki głos miał gruby, z Osiecką spotykał się. No nieważne.

W każdym razie także no, ta aha no i krótko potem jakieś tam, ktoś się zajął, że był jakiś wreszcie porządek organizacyjny. Już nam jakieś jedzenie gotowali. Już ktoś kimś kierował. Nastąpił jakiś ład i porządek. No i za parę dni przyjechała tam taka grupa czterech panów z Czeladzi, bo tam najwięcej dzieci było z Czeladzi, dlatego że tam było takie masowe aresztowanie. No i oni zabrali pięćdziesiąt-parę dzieci ze sobą. Dostali pełnomocnika, tego Ziętka, bo on był wtedy wojewodą i przywieźli je do Czeladzi. W Czeladzi ludzie czekali na nich, ale jak zobaczyli w co są ubrani, to myśleli... Zaczęli szemrać, bo myśleli, że to dzieci niemieckie. Dopiero ktoś się zorientował i wyjaśnił, no to wtedy radość, Roty odśpiewali, a myśmy i aha...

I oni dali takie do Gazety Katowickiej ogłoszenie, takie że w Potulicach są dzieci, czekają na rodziców o ile żyją lub rodziny i wymienili nazwiska i to było chyba 27 lutego. Taka gazeta wyszła i ktoś tą gazetę do mojej babci przyniósł. Zobaczyła, że jesteśmy my trójka i te drugie dzieci Hermany - trójka. No i wtedy babcia, jeszcze dziadek to był zde gustowany, bo mówi – Matka, ja już chcę odpocząć - bo babcię moją jak, jak nas aresztowali to ojciec i wujek się ukrywali i babci mojej oferowały Niemcy, że puszczą jej córki z Oświęcimią, jak powie gdzie się ukrywają. No, ale babcia tego nie zrobiła, bo ją dziadek podpierał – To ci nic nie da. No i tak że chciał mieć spokoju trochę, a tu sześcioro dzieci przywieziono.

Aha, no tylko nas za jakiś czas przywieziono i nie do Czeladzi, tylko do Będzina, do szpitala nas przywieziono. Wiem, że biało wszędzie było i tego. No i jak to zobaczyła, no to zorganizowali taki transport konny, bo wtedy wojsko miało jakieś sprawy, pierwsze były. Także ich zabrano. Przyjechał... Aha, przeżył ten wujek Herman i on z kimś tam przyjechał bryczką po swoją trójkę i nas miał zabrać. Ale ja i brat byliśmy wtedy chorzy, tylko brat uciekł, a ja zostałam. Także pięcioro dzieci wujek Herman zabrał do Jaworzna.

No i tutaj babcia się nimi zaopiekowała, bo ta córka Hermanowa mieszkała przed wojną z babcią razem. No, a ja zostałam jeszcze dalej tam. Potem, za jakiś czas, po mnie przyjechała babcia z taką wujenką i pan jeden, który sobie dziecko chciał adoptować. No wtedy już dzieci nie wydawano, bo się okazało, że w pierwszym razie ktoś zabrał dziecko, a rodzina się jakaś zgłosiła i nie wiadomo było gdzie poszło, co... Bo to był taki chaos trochę. No, no a tak, ten mały Andrzej przeżył. Jego zabrała babcia Hermanowa, czyli matka-babcia od ojca. A te dwie dziewczynki zostały z nami u babci. Także babcia miała pięcioro wnuków tzn. bo ja doszłam. Jeszcze jak szłam to miałam na nogach... Mówiłam o tym, że tam dostawaliśmy drewniaki takie bo to był spód drewniany, tu szmata i jak szłam to mi to pękło także tego.

No i jak no i ta cała piątka była zawszona. Moja siostra to była cała głowa, to miała strupy ropne na twarzy. Dzieci jej to się brzydziły w szkole. Było.. świerzb mieliśmy, także babcia u tego

aptekarza Marcinkowskiego czy Marcinkiewicza w rynku to stale całe słoiki maści, czegoś... Byliśmy tak kurowani, odwszawieni i w ogóle.

No i jak mnie babcia przywiozła do domu, to tak w kuchni siedziały osoby. Sąsiedzi chcieli zobaczyć jak człowiek wygląda. A ja siedziałam na stołeczku, a babcia mi szykuje picie i patrzę, że ona mnie kawę robi i wlewa mleka. Ja mówię Babci, ja takiej nie chcę, ja chcę czarną gorzką - dosłownie to pamiętam. No, no ale to były czasy dobre, bo mieliśmy bardzo dobrą tą babcię. To była mama mamy; bardzo kochaną, oddaną. Taką, że wieczorami to bardzo lubiła jak ją cesałam i opowiadałam, a nocą siadała i płakała. A w ogóle jak ktoś wrócił do Oświęcimia, to zawsze babcia mnie brała za rękę i jechaliśmy do nich zobaczyć, czy dowiedzieć się, czy czasem nie widzieli... Może żyje, może tego... Przez Czerwony Krzyż się starała, do jasnowidzów chodziła. No w każdym razie, przeżyła to bardzo.

No potem ten wujek Herman się ożenił, to wziął te dwie dziewczynki ze sobą. A myśmy już zostały... w trójkę zostali u babci. No, babcia co mogła, to nam takie warunki stwarzała jak tego. No, jedzenia nam nigdy nie brakowało. W urzędach nawet, babcia u starosty Krakowskiego załatwiła taką rentę wojenną, do 16 lat mieliśmy ją mieć. No, brat jak skończył szkołę podstawową, poszedł do technikum do Cieszyna, a ja z siostrą zostałyśmy tu. No, jak skończyłam siódmą klasę, to babcia mi zmarła znowu. Nie wyobrażałam sobie wtedy życia.

No, wtedy dostałam się do.. załatwiłam sobie sama no, pobyt w domu dziecka w Krzeszowicach. To był właściwie dom młodzieży, kiedyś nazywał się Państwowy Ośrodek Wychowawczo-Naukowy, bo założył go taki profesor Jedlewski, który sierotom ze Wschodu chciał stworzyć warunki godziwe. No i tam dotarłam. A tu na miejsce babci przyszła jej synowa z trójką dzieci, no i siostra i brat byli u niej. Brat mój przerwał naukę, poszedł do pracy, a siostra była tu. No i potem, no nie mieliśmy za dobrego, to już nie była taka opieka jak babci. Ona miała swoich trójkę dzieci. Ja załatwiłam siostrze pobyt, żeby też się dostała do domu dziecka. No najpierw ją wzięli do Krakowa, do pogotowia opiekuńczego na ileś tam dni, a potem do Krzeszowic tam gdzie ja byłam. Ona tam skończyła szkołę podstawową, nawet była w klasie z Anią Seniuk.

No, a ja chodziłam do szkoły średniej, tam skończyłam liceum pedagogiczne i nawet miałam iść do pracy na ziemie odzyskane, bo tak jeździli tacy... Natomiast wtedy były tzw. nakazy pracy po ukończeniu szkoły zawodowej, no więc ponieważ no byłam dobrą uczennicą i maturę zdałam też najlepiej, to mnie szkoła typowała, co było równoznaczne ze zwolnieniem z nakazu pracy. No i mogłam wtedy iść na studia. Chciałam iść na AGH, ale dostałam wypełnioną ankietę na jaką uczelnię i jaki kierunek. Matematyką się nie interesowałam nigdy. Lubiłam, szła mi dobrze, ale nie miałam tak, żebym tego...

No i w pięćdziesiątym szóstym roku, tak to było ? Tak. Zdałam maturę, zdałam egzamin, dostałam się na matematykę do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. No, co roku mi się lepiej działo. W końcu najlepiej pracę magisterską napisałam na piątkę - na opublikowanie się nadawała. No i obroniłam w czerwcu pracę magisterską, bo chciałam zawsze się jak najszybciej uniezależnić, żebym tego... No, wakacje spędzałam zawsze na kolonii, żeby zarobić parę groszy. Jeszcze nagrody zawsze, taki był bogaty ten... to było Przedsiębiorstwo Budowy Elektrowni i Przemysłu to tam jeszcze zawsze nagrodę dostawałam pieniężną. Także sobie tak jakoś tego... No i dostałam, miałam stypendium pełne też. Nawet potem jeszcze załatwiłam sobie rentę po ojcu. No także było mi tam ostatnie 2 lata studiów miałam warunki dobre. Natomiast pierwszy rok był tragiczny, bo na pierwszym semestrze nie dawano stypendiów, bo były duże odsiewy. A dostawałam takiej zapomogi 260 zł, a 252 zł kosztowało całodzienne wyżywienie w akademiku i akademik za darmo. Zostawało mi na inne rzeczy 8 zł. No, wyobrazić sobie można jakie kosmetyki mogłam kupić, co? No, ale miałam dobrych ludzi. Brat mi dał tam parę groszy, mama koleżanki, ciocia coś tam no i tak jakoś... No, później sobie radziłam, bo już korepetycje dawałam. No, no i studia zaliczam do rzeczy no takich samodzielnych. Nigdy nie miałam w nikim oparcia, bo już nie było babci. Nie było tego, także musiałam tylko na siebie liczyć.

No, poznałam też męża swojego tam na studiach. Przyszłam do miasta Jaworzna z powrotem, bo ja przywiązuje się bardzo do miejsca, do miasta. No i tutaj podjęłam pracę. Pierwszy rok to pracowałam w szkole nr 1, bo tam była stołówka. Zależało mi, żebym mogła mieć tanie

obiady, bo zarabiała się bardzo marnie. Było 1200, tak 1200 zł pensja i 120 za magisterskie - to było 1320 miałam jakoś. W każdym bądź razie, jeszcze podatek był, także nie dostawałam tego, więc to wyżywienie w tym do płaciłam 150 zł. Także to było bardzo warto. No i tutaj gdzie mieszkam, to sobie taki remont zrobiłam, zamiast iść na przykład i powiedzieć, że nie mam gdzie mieszkać. No, ale ja na własną rękę szukałam. Nie chciałam nigdy tak za bardzo, żeby kogoś obarczać.

No, a potem, po roku przyszedłam do liceum ogólnokształcącego, jedyne wtedy było. Nawet od nowego roku wezwano mnie do Inspektoratu, no i że przechodzę tam. No i tam przepracowałam 30 lat pełnych, 31 lat prawie pełnego etatu i właściwie to półtora etatu. No i potem jeszcze, już jako emerytka też, czy tak na pół etatu byłam w Szkole Górniczej. No i 40 lat w sumie przepracowałam. No, nauka w szkole... to znaczy ja młodzież lubiłam. Tylko zawsze po studiach to człowiek inaczej traktuje niż tego i właściwie każdy chyba nauczyciel to się dopiero uczy uczyć.

- Oczywiście.

- No, bo przygotowuje się człowiek owszem bardzo solidnie, ale dochodzi do pewnych rzeczy, bo to uczenie moje miało polegać na tym, że ja nie miałam podać i powtórzyć, tylko wyciągnąć wszystko od młodzieży. Rozwijając, bo to takie cele wtedy były kształcące. No w każdym bądź razie tutaj dość tak lubiłam młodzież, nie powiem. Fajne klasy były, bo młodzież jest miła muszę powiedzieć. Nie spotkałam się z jakimś ewidentnym przypadkiem jakiegoś złego zachowania, czegoś, no... Dwój nauczyciel też z miłością nie stawia, bo to nie tylko, że świadczy o nim nie za dobrze, ale no po prostu żal człowieka drugiego. No np. jak wystawianie ocen to było też jedną z najtrudniejszych rzeczy. Jak uzasadnić, że ten ma tak, a tamten tak? No, ale powiedzmy są nieraz dzieci o słabszych uzdolnieniach, ale pilne bardzo, więc też trzeba to docenić. No przepracowałam tak. No i co jeszcze?

- Myśli Pani, że to co pani przeżyła w dzieciństwie uwarściwiło panią i wpłynęło na pani dalsze decyzje, chociażby właśnie jako pracę nauczyciela, tak?

- No, więc jak byłam jeszcze w szkole średniej, to mi się wydawało, tak mi się wydawało, że ja mam dużą misję do spełnienia, że ja mogę wpłynąć na to, żeby ta młodzież inaczej reagowała, inaczej się w życiu dorosłym zachowywała. No, ale jak skończyłam szkołę średnią, to płakałam, że nie chcę być nauczycielką. Naprawdę, ale to nie wynikało z tego, tylko po prostu akurat trafiłam na taką klasę, gdzie człowiek prowadził lekcje i było jedno dziecko, które było synem prezydenta Krzeszowic. I ta pani, która była wychowawczynią miała zdarte już gardło ta poprzednia i on potrafił w danym momencie wyjść jak Filip z konopi i rozwalić mi cały osiągnięcie, bo człowiek tak dochodzi pytaniami do czegoś, żeby sama młodzież to odkryła. No i wtedy pamiętam, że przeżyłam to strasznie, że to jest bardzo trudna praca i nie chcę być. Nawet na drugim roku to tak miałam zamiar i poszłam na AGH się przenieść. No, ale ten dziekan mi powiedział – Dziecko, jakbym ja miał córkę, to bym ją tylko na matematykę dał. Zastanów się dobrze.

No i zostałam. No, jakoś tak raz mnie koleżanka też, bo już miałam taki moment załamania, że mam zawód miałam już. Nawet pracę powiedzmy miałam załatwioną, bo już byłam tylko wziąć dokumenty do wojewódzkiego tego zanieść. Ale koleżanka, też była taką sierotą tu gdzieś z Jarosławia, to ona łap mnie - Chodź tu, siadaj. Uczymy się. No i tak mi przemogła, że jakoś do tego egzaminu, bo już zaczynałam tak trochę, że tak powiem no łamać się.

No i tak oto... No w czasie mojego tego, teraz jako emerytka, ale teraz skontaktowaliśmy się jak żeśmy rodziny pozakładały i takie były troszkę odciążone. Tośmy zaczęły wtedy te koleżanki z tego obozu się zrzeszać. Stworzyłyśmy sobie takie, że nawet jedno z takich zjazdów był. Zorganizowałam ja, w Jeleniu miałyśmy ten, no to zebrało się ileś osób. Mamy... mam zdjęcie wspólne, wszyscy ci. A tak to co roku spotykaliśmy się w Czeladzi, tam w tym muzeum. No, teraz już bardzo się związek... No i był... Aha, no i ja tam pracowałam tak społecznie. Potem zostałam prezesem tego związku i do tej pory... Ale w zeszłym roku chciałam zrezygnować, ale oni jeszcze chcą. Ta pani, mąż zaufania z tego Maksymiliana Kolbe, chce żebyśmy jednak ten kontakt z tymi byłymi jeszcze utrzymywali. Bo ja już nie mam zdrowia, mam co robić. No i tak, że ja się rzekłam, ale takie dwie osoby wprowadziłam takie. Jeden to jest członek wspierający, a drugi to



jest honorowy. No i on został prezesem. Ja jestem tylko skarbnikiem teraz. Mamy siedzibę w hotelu Katowice.

W takich różnych tych, to często dostają takie zaproszenia do Niemiec, do młodzieży takiej szkół średnich, gdzie prezentują tam zdjęcia, dokumenty o takie coś. No, i na tydzień cały albo dwa tygodnie jadę. No młodzież przychodzi, nawet młodzież niepełnosprawna. Muszę powiedzieć, że jak jakoś opowiadaliśmy, pokazywałam tam, że nawet dwutygodniowe dziecko jest aresztowane, to ci niepełnosprawni to oni nawet niektórzy płakali. Dosłownie. No, miło jest tak, tam jest organizowany, właśnie ten Maksymilian Kolbe to jest taka fundacja, gdzie trochę datki dają ludzie, trochę mają jeszcze z czegoś tam, że oni dla więźniów byłych organizują pewną pomoc. W okresie stanu wojennego przywozili leki. I tego, jak ktoś potrzebował tam okularów czy aparatu słuchowego czy wózków, to oni... No, niekoniecznie nowe, ale powiedzmy dużo jest takich dobrych, że to też wykorzystywano.

- W całym tym niełatwym życiu, które Pani miała, zwłaszcza w tych pierwszych latach, fantastyczne jest to, że jednak znajdowali się dobrzy ludzie. Czy to w obozie, którzy pomagali; czy później, tacy którzy Panią, albo się zajmowali jak babcia, która była Pani najbliższą osobą; czy takie jak później te koleżanki; czy ogólnie ci ludzie z fundacji. Pokrzepiające jest to, że znajdują się tacy fantastyczni ludzie. Piękne jest to, że pielęgnujecie Państwo pamięć, bo to o czym Pani opowiada jest niezwykle ważne.

- No, muszę Pani powiedzieć, że tak 4 razy do roku to jeździłam, bo to nie jest łatwe. Nie, bo to muszą oni mieć tłumaczy, bo... Aha, bo mój... Ja miałam gdzieś dwóch dziadków. Jeden dziadek mój to był Adolf - to był rodzony dziadek mojego... I drugiego miałam takiego, który wychowywał mojego ojca, po śmierci jego mamy. No i ten dziad... Oni umieli wszyscy po niemiecku, bo ich ojciec był Austriakiem. I on po wojnie ten dziadek Adolf chciał mnie uczyć niemieckiego. A ja nie chciałam. Zamykali drzwi, brodę mi podnosili. Uparta byłam jak osioł i nie nauczyłam się. I bardzo żałuję teraz na starość, bo jak przyjdzie tak na spotkanie, to tam z pięć zdań może powiem po niemiecku nie, ale tak to nie... No, ale tak jest. Także to doceniam nauki języków obcych bardzo.

No, zawsze miałam trochę taki charakter, że jako dziecko to z koleżanką z ulicy teatr w stodole u babci robiłyśmy, coś tam takie różne, wie Pani. Zawsze byłam gdzieś w grupie jakiejś. No, kochałam sport bardzo. Te wszystkie normy, bo to dawniej były SPO, BSPO – takie: bądź sprawny do pracy i obrony. Takie się nazywa. A SPO to było sprawny, trzeba było takie konkurencje, te normy zrobić. Dopiero się dostawało jakies... Kościuszkowskie zawody były – to się rzucało granatem, biegało, a tam cuda takie były. Było dużo takich zajęć sportowych. No, na studiach cały czas. Byłam na pierwszym roku, to przyszedł taki trener, szukał narybku. No i myśmy miały, nie wiem z geografiami i z kimś tam razem, takie były duże dziewczyny. I wybrał taką koleżankę z mojego roku, krakuskę, Krystynę taką Czechowicz i mnie kurdupelka. Nie wiedziałam czemu, no ale o tyle dobrze, że ja byłam dosyć taka... miałam dobrą orientację, szybkość tego - tylko nie umiałam, za mała byłam, żeby wie Pani co – ścinać. I nie cierpiałam tej sytuacji: środek przy siatce, bo tam tak nieraz, takie piłki, ale tak to dobrze. No i cały czas byłam w reprezentacji uczelni, także miałam zajęcia takie.

No, lubiłam też na zabawy chodzić, bo w ogóle muzykę lubię, teatr lubię. Potrafiłam trzy filmy za dzień obejrzeć. No, także może to nie tak trochę, wie Pani. No, już byłam samodzielna. No, już mam taki charakter, że już nic... No, nie mam co mówić, narzekać. Tak jak koleżanka inna mówi, że nigdy im nie wybaczy. Tak mówiła ta z Czeladzi, tak obydwie myśmy ten związek ciągnęły. Ale ja mówię tak.

No patrzę, przecież tam też jest dużo sierot. Nie wszyscy chcieli iść na tą wojnę. Przecież to jest też takie właśnie, jak chodzę na te spotkania, to bardzo podkreślam jak straszne są te totalitarne systemy rządów, że człowiek tam nie ma wolności słowa, wyboru tego, tylko musi. To rozkaz i tak dalej. Przecież w Niemczech też były te... ten ruch oporu. Przecież pierwsze obozy te koncentracyjne założył Hitler w Niemczech, dla Niemców. I też tak, nawet właśnie u jednej takiej działaczki z tego Kolbego w domu byłam, bo nas zaprasza wtedy tą grupę całą. No i ona takie miała zdjęcia, tak w pokoju wisiały pionowo. I ja się tak spytałam, co to jest? A ona mówi, że to jest dziadek, który gdzieś na Wschodzie poległ. No, to też dziecko niewinne co może, nie? Więc do tych

małych tylko ważne, żeby oni... Zawsze im apeluję o to, żeby zwracali uwagę na te wartości, które w życiu są najbardziej potrzebne. Takie żeby ludzie normalnie żyli i ze sobą się jakoś kontaktowali. Nie nienawidzili, nawet machnąć ręką na wiele rzeczy. O swoje też dbać, ale zupełnie inny świat.

- Dokładnie. I to, co Pani opowiada, pomaga uświadomić sobie, co może się stać, jeżeli zapomnimy o tych wartościach.

- No, ja im zawsze mówię, że jesteście szczęśliwi, bo nie wiecie co to wojna. A wojna potrafi... Jak już widzicie w telewizorach, jak tam w tej Afryce... Co te dzieci takie różne, bez nogi tu, tam to. Jezus, to jest makabryczne. Albo teraz, wziąć tą Ukrainę, to mi się samej płacze jak ja... Ja już nie oglądam tego, bo po prostu nie mogę patrzeć no.

- Rozumiem jak najbardziej. Bardzo dziękuję za rozmowę Pani Józefo i mam nadzieję, że jeszcze Pani kiedyś do nas przyjdzie, żeby opowiedzieć o przyjemniejszych aspektach swojego życia.